Ze wspomnień starego lokaja



Zamek w Łańcucie w 1924 r., fot. 1-P-2131 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Zamek w Łańcucie jest jednym z najpiękniejszych zabytków kultury dawnej Polski. Otoczony wspaniałym angielskim parkiem, fosą, w której nigdy nie było wody, tylko pnąca się po skalistej nawierzchni roślinność, z największą w Europie prywatną kolekcją Powozów i słynnymi Międzynarodowymi Festiwalami Muzyki, stanowi do tej pory miejsce chętnie odwiedzane przez turystów z całego świata.

Zamek przez wiele lat był siedzibą rodziny Potockich. Po śmierci Romana Potockiego w 1915 roku czwartym i ostatnim łańcuckim ordynatem został Alfred Potocki. Spokrewniony z rodzinami arystokratycznymi w całej Europie obracał się w kręgu europejskiej śmietanki towarzyskiej, a poprzez brata Jerzego, ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych, miał stały kontakt z politykami, dyplomatami i bieżącymi wydarzeniami na amerykańskim kontynencie. Po likwidacji skutków I Wojny Światowej i uregulowaniu spraw administracyjno-gospodarczych, w Łańcucie znów zaczęła rozbrzmiewać muzyka, a przed zamek zajeżdżały gościnne zaprzęgi czy luksusowe czarne limuzyny. Przyjmowani byli znakomici goście z całego świata. Z oficjalnymi wizytami przybywali m.in. król Rumunii, książę i księżna Kentu, marszałek Piłsudski, prezydent Mościcki, minister Beck.

Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał. Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy byłem pewien słuszności swych usług dla mego kraju – pisał Potocki w „Pamiętnikach”.



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Hrabia Alfred Potocki (na pierwszym planie w środku), hrabina Maria Helena Potocka i minister spraw zagranicznych Józef Beck w rozmowie przed zamkiem łańcuckim. Na drugim planie widoczna księżna Kentu Marina (pierwsza z prawej) i hrabia Benedykt Władysław Tyszkiewicz, 1937-38 r, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2133-4.

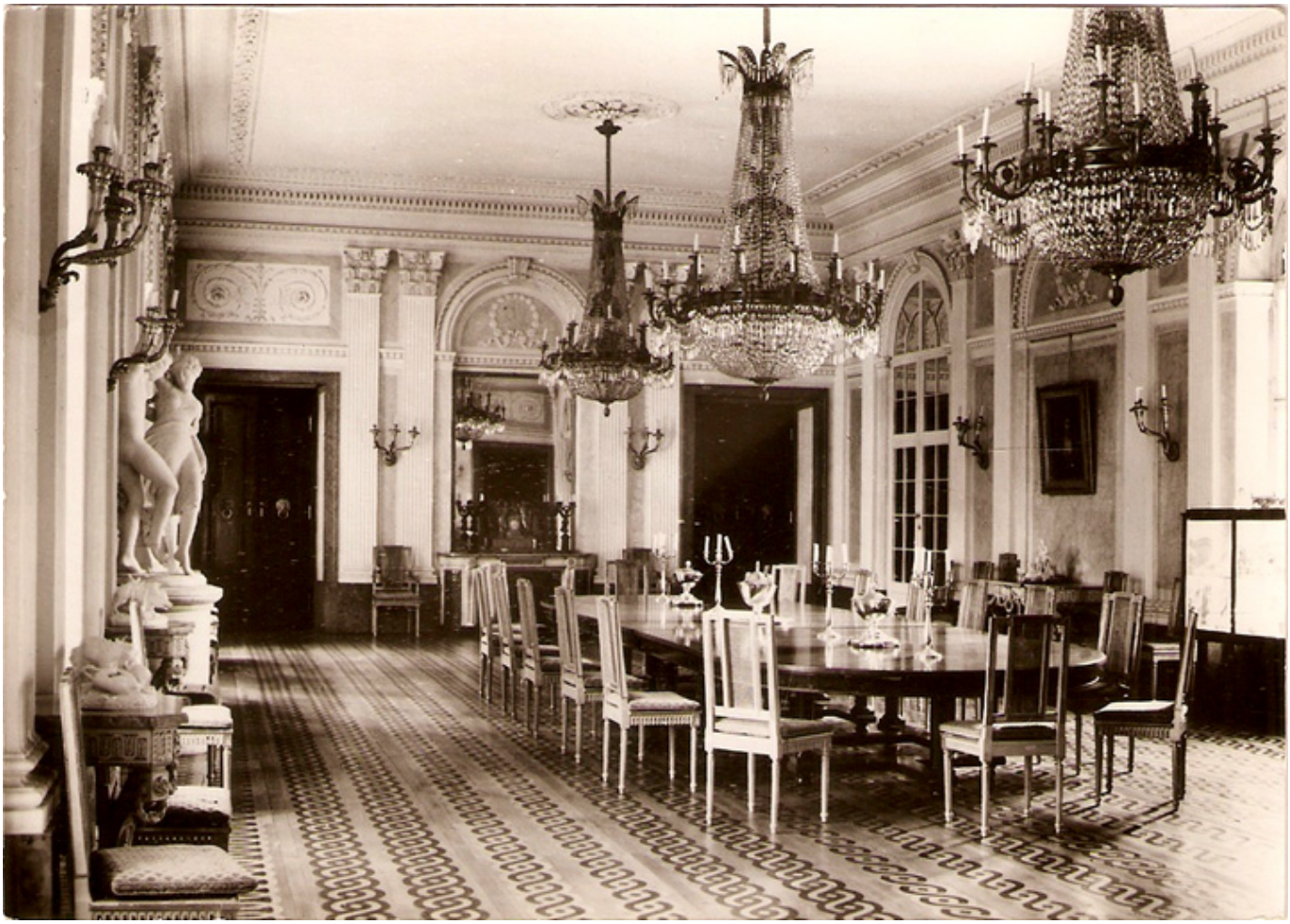


Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Książę Jerzy (z prawej w jasnym ubraniu) z małżonką Mariną w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka (z prawej pod parasolem) i pani Jadwigi Beck przed zamkiem łańcuckim. Z lewej w jasnej sukience widoczna hrabina Maria Helena Potocka, w bramie zamku Alfons Koziełł-Poklewski i hrabia Alfred Potocki, 1937-38 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2133-6.

Aleksander Świątoniowski przed wojną był lokajem z pierwszego piętra. A na pierwszym piętrze znajdowały się reprezentacyjne pomieszczenia: Sala Balowa, Biała Jadalnia, Teatr i luksusowe, gościnne apartamenty. Pracował w Zamku długo, bo od 1927 roku, aż do wyjazdu Potockich z kraju w 1944 roku. Trudno było do niego trafić. Zaraz po wojnie oprowadzał wycieczki po upaństwowionym już Muzeum-Zamku. Komuś się nie spodobało, że chwalił byłych właścicieli i stracił pracę. Od tej pory nie przyznawał się do dawnej służby.

Zbierając materiały o rodzinie Potockich szukałam osób, które mogły by mi opowiedzieć o przedwojennych czasach. Niestety, rodzina czy przyjaciele mieszkali w dużej części za granicą, a byli pracownicy, to starsi ludzie, którzy niewiele wiedzieli. – Ja proszę Pani stolarzem byłem, więc nie bywałem na pokojach –

słyszałam. Wtedy, młody bibliotekarz pracujący w Bibliotece Zamkowej Tadeusz Baj powiedział mi o lokaju z pierwszego piętra, który mieszkał w Soninie pod Łańcutem i był jego sąsiadem. Umówił mnie i poszliśmy razem.



Biała Jadalnia na starej fotografii. Jadalnia położona obok Sali Balowei i Teatru pełniła funkcję rerezentacyjną. Tu odbywały się bankiety i tu byli przyjmowani dostojni goście.

Aleksander Świątoniowski okazał się bardzo miłym starszym panem. Wysoki, barczysty, z gęstymi włosami. Na pierwsze piętro dobierani byli przecież pracownicy o reprezentacyjnym wyglądzie. Przyjął mnie bardzo gościnnie, widać był zadowolony, że może sobie powspominać. Nie czekając na pytania z mojej strony zaczął opowiadać.

– Kiedy zjeżdżali się ważni goście, to mieliśmy masę roboty i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i bawili do Trzech Króli. Potem Potocki jechał za

granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.

Staremu lokajowi plączą się czasami wydarzenia, mylą nazwiska, poprawia się, zastanawia. Chce jednak jak najwięcej sobie przypomnieć i jak najwierniej odtworzyć tamte czasy, z okresu swojej młodości.

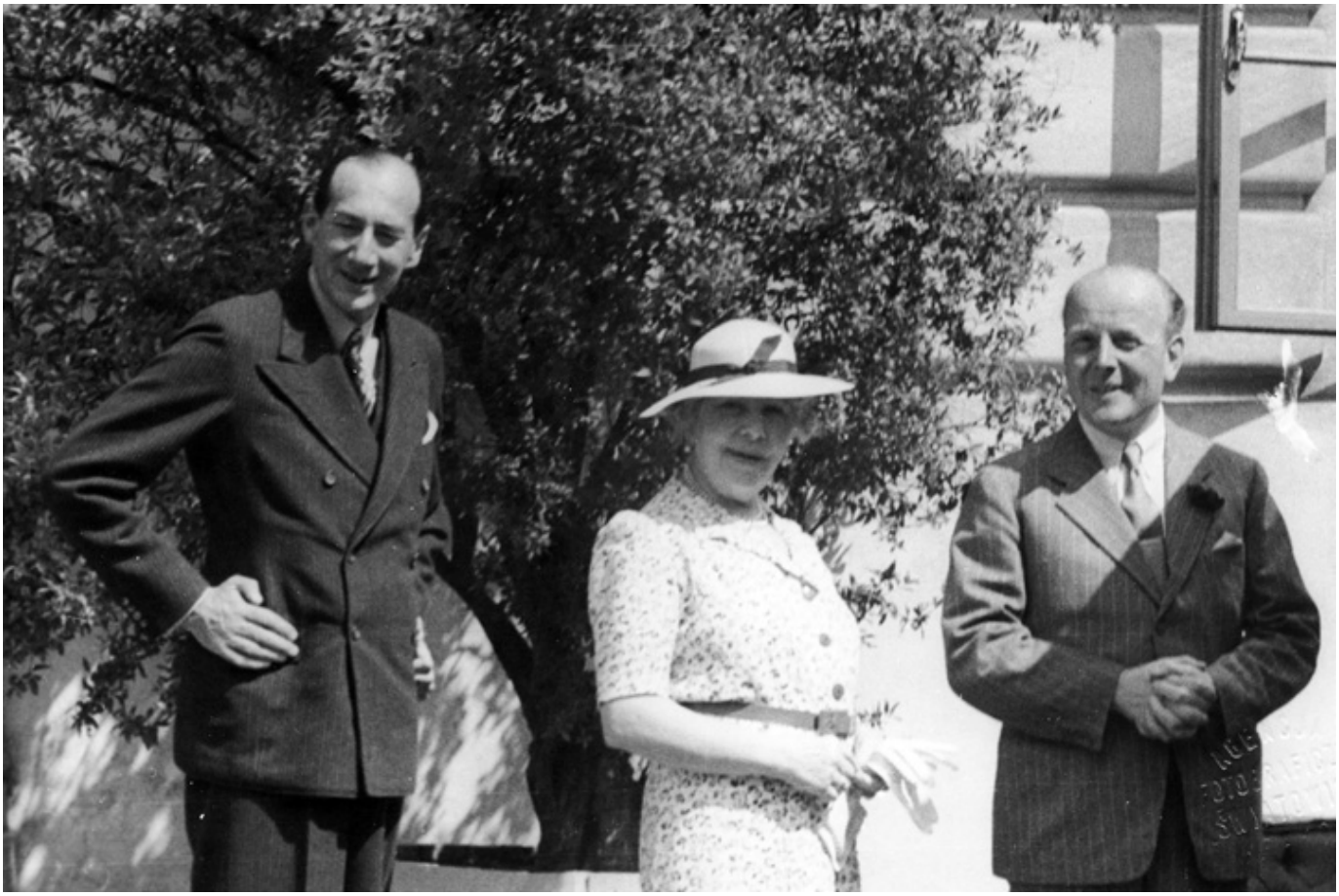
– O, było tu i na co popatrzeć, było. Na przykład taka wizyta hinduskiego Maharadży. Co tu był wtedy za ruch, ile kolorowych wspaniałości. Błyszczące stroje, dziwne obyczaje. I ta egzotyka w naszym, galicyjskim Łańcucie.

– Albo ta aktorka Laura. Ile było z nią zamieszania.

Z urywanego potoku słów można wywnioskować, że przez pewien czas mieszkańcy zamku interesowali się plotkami o pięknej aktorce Laurze, Amerykance, grającej podobno w Hollywood. Hrabia Potocki przywiózł ją do Łańcuta ze swoich amerykańskich wojaży. Szczerze w niej zakochany chciał się nawet z nią ożenić i zrobić piękną Laurę panią na Łańcucie. No, ale przecież matka ordynata, spokrewniona z europejskimi rodzinami panującymi, nie mogła dopuścić do takiego skandalu. Jej synowa, żona łańcuckiego ordynata – aktorką. Nie, to byłoby straszne.

Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął pewnie też dawny obyczaj, że po ślubie syna – ordynata, matka – wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. W związku z tym energiczna postawa Elżbiety Potockiej zmieniła tok wydarzeń. Piękna Laura musiała wyjechać.

– W saloniku, na fortepianie do dziś stoi jej fotografia. To ta urodziwa kobieta z koralami na szyi.



Hrabia Alfred Potocki (z prawej) z matką hrabiną Elżbietą Potocką i ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem w ogrodzie przed zamkiem łańcuckim w sierpniu 1937 roku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

– *A słyszała pani o tym człowieku z Wrocławia, który podszywał się pod syna Potockiego?*

I znów lokaj zamienia się w gawędziarza.

Już po wojnie zgłosił się domniemany, nieślubny syn hrabiego. Mówił, że jego matka była kiedyś garderobianą w pałacu i spodobała się hrabiemu Alfredowi. Badano, pytano, przesłuchiwano świadków. Sprawdzano czy rzeczywiście była taka garderobiana. Jedni twierdzili, że była, inni, że nie. Rzekomy syn ordynata dokumentował swoje pochodzenie sygnetem, który miał dostać od hrabiego. Przy bliższych oględzinach okazało się jednak, że sygnet był podrobiony. Półtrzecia krzyża na srebrnym polu, czyli Srebrna Pilawa, ma trzecią pałkę z prawej strony, a okazany przez domniemanego potomka pierścień, był niestety tylko lustrzanym odbiciem rodowego herbu.



Hrabia Alfred Potocki podczas przejażdżki konnej przed pałacem, 1924 r., fot. 1-P-2131 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

– *A ile było zamieszania wokół sprawy z ambasadorem Francji.*

Jak zwykle w karnawale Zamek tętnił życiem Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z gości, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy". Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpisały, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przepraszać obrażonego gościa.



Od lewej: Jerzy i Alfred Potoccy,

Stary lokaj wyciąga przedwojenne fotografie. Tu w liberii lokajskiej, a tu w mundurze orkiestry straży pożarnej. Hrabia Potocki utrzymywał orkiestrę, która grała nie tylko na powitanie gości. Gdy w niedzielę rano ordynat jechał na mszę do kościoła, kazał grać marsze żałobne, a kiedy wracał, to same skoczne mazurki i oberki. Lubił muzykę ludową. Płacił każdemu, kto mu zanucił nową przyśpiewkę. Przed wyjazdem z Polski na stałe hrabia Potocki ustawił swoich pracowników w rzędzie, ze wszystkimi się pożegnał i zapowiedział, żeby pilnowali majątku. Przypuszczał, że wróci do rodowej siedziby.

Przez długi czas po wyjeździe Potockich dyżurowano więc w Zamku i pilnowano, żeby nic nie zginęło. Zanim jednak obiekt został zabezpieczony, narażony był na kradzieże i dewastacje. Jeden z sekretarzy partii wydał nakaz zlikwidowania oznak dawnej świetności i śladów wyzysku. Niszczono więc boazerię i zabytkowe posadzki, wynoszono meble, porcelanowe serwisy, srebrne sztućce. A na zamkowym dziedzińcu rozpalono ognisko. W płomieniach znalazło się wiele cennych książek, mapy, XVII-wieczne atlasy, nuty z czasów Księżnej Marszałkowej. Dawni pracownicy wynosili do domów co się dało i ukrywali w piwnicach, żeby ochronić przed zniszczeniem.

Przez jakiś czas mieszkali w zamku rzekomi artyści – malarze. Zajmowali pokoje na

drugim piętrze tzw. Gabardówkę. Po ich wyjeździe zauważono zniknięcie kilku obrazów Kossaka. Dzieła te znalazły się potem na aukcji w Stanach Zjednoczonych.



Prezydent RP Ignacy Mościcki w towarzystwie ordynata Alfreda Potockiego i świty zwiedza park pałacowy, 1929 r., fot. 1-A-1578-11 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

– *Pan Hrabia to był swój chłop – kończy swoje wspomnienia stary lokaj. – Gorsza była matka, bo wie pani, to Niemka. A on to i na wesele do nas przyszedł i na chrzciny. I zadbał o ludzi, jak było potrzeba.*

Alfred Potocki nigdy już do Polski nie przyjechał. I tak zakończyła się służba u ostatniego ordynata w Galicji, pana na Łańcucie.